

## Zielone Krzesło.

Zadziwiająca rzeczy zdarzają się ludziom w Paryżu. Nietylko w Paryżu, broń Boże, ale nigdzie może częściej, jak w Paryżu. Choć na pytanie „dlaczego?” niema odpowiedzi, fakt pozostaje faktem. Zainteresujmy całą tę falangę przyjezdnych, która się po bruku paryskim tłoczy, a z ręką na sercu każdy się nam przyzna, że zawsze z jakąś przygodą z Paryża wraca; tę czy inną, bardziej lub mniej drastyczną, drobną, ludzką anegdotą chociażby, to zależy: od wrażliwości ludzkiej, od wypadkowych magicznych sił w danym wypadku działających i od wielu innych czynników, będących źródłem iskierek czarownej, którą mianem „pointy” chrząć po literacku zwykliśmy.

Oto jedna z drobniejszych przygód:

Tragizm z komizmem tryskają tu jakby z jednego wodotrysku. W jednym oku ła ci się szkli, w drugim chochlik się śmieje, jak wogóle na świecie, a nigdzie częściej, jak w Paryżu. Choć na pytanie — „dlaczego?” niema odpowiedzi, fakt pozostaje faktem.

Pewnego czerwcowego wieczoru siedziałem na werandzie kawiarni de la Paix. Byłem sam, w niezłym nastroju, grałem w piłkę oczami, ciągnąc whisky przez słomkę. Przede mną płynęła fala wieczornych spacerowiczów: piękne kobiety, charakterystyczne głowy, midinetki, Marokańczycy. Można było oczy napaść!

Wtem podchodzi wysmukły, młody mężczyzna do mego stolika, jedynego, przy którym wolne jeszcze krzesło stało. Nie mogłem mu przeto mieć za złe. Uprzejmie o pozwolenie pyta:

— Bardzo chętnie, proszę!

Dziękuję, robi ruch jakgdyby miał usiąść... Wtem coś nieoczekiwanego się dzieje: ledwie, że wolne krzesło zobaczył (niepozorny, na zielono pomalowany, mierzucający się w oczy rekwiwit dla ludzkiej wygody, z czterema cienkimi, prostymi nogami) — zmienił się magię na twarzy.

Zbladł, złowrogi błysk ukazał się w jego oczach a z ust wściekły okrzyk się wyrwał.

Obu rękami schwyłszy krzesło, podniósł je do góry i — tak długo o posadzkę niem tłukł, aż się w kawałki rozprysło.

Z szybkością błyskawicy cała się ta scena rozegrała, szerząc zdumienie i postrach wokół. Oblicza kobiet — mawpól trwożne i ciekawe — to czerwieniały, to bladły naprzemian. Nie lepiej było i z mężczyznami. Kelnerzy rozbiegli się, niczym ptaki spłoszone, stając na uboczu bezradnie. Rozmowy umilkły. Jakiś pojedynczy głos policie głośno wzywał. Ale po co właściwie?

Osobliwy gość tymczasem oprzytomniał, jakgdyby się ze snu obudził. Spojrzał wokół przerażonym wzrokiem, sięgnął

zmieszany po pugilares i wyjąwszy zeń banknot, położył go na stole. Poczem mijając stoliki, gośćmi obsadzone, skierował się ku wyjściu. W chwili potem fala spacerującego tłumu poślknęła go.

— Głupiec, błazen czy idjota? — zadawałem sobie pytanie w duchu.

W każdym razie los był dla mnie przychylny; nie mnie, lecz niewinne zielone krzesło wybrał na pożalowania godny obiekt rozpetanego żywiołu. Jakże mu za to nieskończenie wdzięczny byłem!

Czuając jednak jakąś tajemnicę w całej tej sprawie tkwiącą i pasjami lubiąc tajemnice tropić, opuściłem kawiarnię, w ślad za bohaterem incydentu podążając.

Na trzecim czy czwartym rogu ulicy dogoniłem go zaledwie. Tak się biedaczysko śpieszył! Błady był ze wzburzenia i nogi się pod nim trzęsły. Kiedu mu rękę na ramieniu położyłem, drgnął całym ciałem i z głową na piersi pochyloną — stanął. Myślał prawdopodobnie, że jakiegoś zadośćuczynienia odeń zażądam. Ja jednak zaprosiwszy go na szklankę wina, zaproponowałem mu łagodnie, aby duszę przedemną otworzył i zrzucił z serca ciężar, który go prawdopodobnie gniecie, nadmierniając, że chętnie, w miarę możliwości z pomocą mu przyjdę. W ten obłudny i niegodziwy sposób chciałem mu bowiem wyrwać z duszy dręczącą go najwidoczniej tajemnicę.

Młody człowiek spojrzał mi w oczy. W wzroku jego szkliły się łzy. Poczem szepnął z cicha:

— Dobrze. Może się pan czegoś z mojej historii nauczyć — o ile wogóle można się czegoś z ludzkich historii nauczyć!

Jestem szefem biura w „Printemps”. Mając dwadzieścia pięć lat poznałem pierwszą moją żonę. Mając dwadzieścia sześć poprowadziłem ją do ołtarza. W rok zaś potem zdradziła mnie.

To się zdarza na świecie zapewne, ale mnie w serce trafiło! Znienawidziłem kobiety i poprzysiągłem sobie nigdy więcej oczom pięknej kobiety nie ulec! Wystarczy przecież sposobności unikać i mam swoją pracę zresztą!

Miałem przyjaciela! Dobrą, oddaną mi duszę. Pewnego dnia w najlepszych humorach udaliśmy się na Pola Elizejskie spacerem. Dobrze się tam zawsze gawędzi, a w razie zmęczenia, pełno wszędzie ławeczek.

Było to w roku zeszłym na wiosnę. W wilgę dnia tego deszcz spadł. Tam, gdzie woda w ziemię nie wsiąkała, stały małe kałuże. Słońce się w nich kapało. Wiosna jednym słowem...

Przed jedną z mniejszych figur siedział młode dziewczę. Ładna była: blondyneczka, duże, szare oczy — rzadkość tutaj, nieprawdaż? Mnie jednak to nie obeszło wcale. Minęliśmy ją. Wtem przyjaciel mój, obejrawszy się, wzjął mnie za ramię i mówi:

— Usiądźmy przy niej.

Nie chciałem przyjacielowi memu psuć zabawy. Wiedziałem, że stracił niedawno przyjaciółkę i, że znów za miękkimi ramionami wokoło swej szyi tęsknił. Poszedłem więc z nim razem. Usiedliśmy obok panienki, ja z lewej, on z prawej strony — na zielonych krzesłach!

Mój przyjaciel zagaił rozmowę zwykłym w takich razach:

„Pani, oczarowany jestem jej ślicznym spojrzeniem i...”

Nie mógł jednak dokończyć, gdyż krzesło pod nim jęknęło i przewróciło się. Mój przyjaciel leżał na ziemi w kałuży, wywijając w gorze nogami a rękami daremnie w wodzie szukając twardego oparcia. Jego nowy jasny garnitur błotem obryzany, kapelusz gdzieś na trawie daleko!

Śliczna panienka wybuchnęła serdecznym śmiechem, rzecz prosta. Zestawienie faktów zbyt bowiem było pocieszne: oświadczenie miłosne na poczekaniu i niefortunny wielbiciel w błocie!

Mój przyjaciel zerwał się wreszcie i spojrzawszy na swoje zabłocone ręce oraz garnitur w smutnym stanie, bąknął coś w rodzaju przeprosin, poszedł po kapelusz, podniósł go, na głowę wcisnął i szybkim krokiem się ulotnił.

W roli Adonisa nie mógł już występować. Musiał przedewszystkiem się przebrać!

Ja jednak zostałem! Moje zielone krzesło nie było złamane! Dlaczego krzesło mojego przyjaciela właśnie miało słabą, nadwyróżoną nogę, a nie moje? Dlaczego los dla niego był łaskawszy? Krótko mówiąc, ja nieszczęsny, na moim mocnym krześle obok ślicznej dziewczyny siedząc, uległem czarowi jej przepaścistych oczu i... w dwa miesiące potem byłem znowu żonaty! A mój przyjaciel? Jego zielone krzesło uratowało. On jest nadal szczęśliwym kawalerem, a żona moja zdradza mnie z nim. Wczoraj się o tem dowiedziałem. Obójtnie to jednak przyjąłem. Nie pierwsze to moje doświadczenie małżeńskie. Ale kiedy dzisiaj nagle ujrzalem zielone krzesło przy stoliku — pan mię teraz rozumie — wyszedłem z równowagi i... zapomniałem się!

Tłum. Jotsaw.



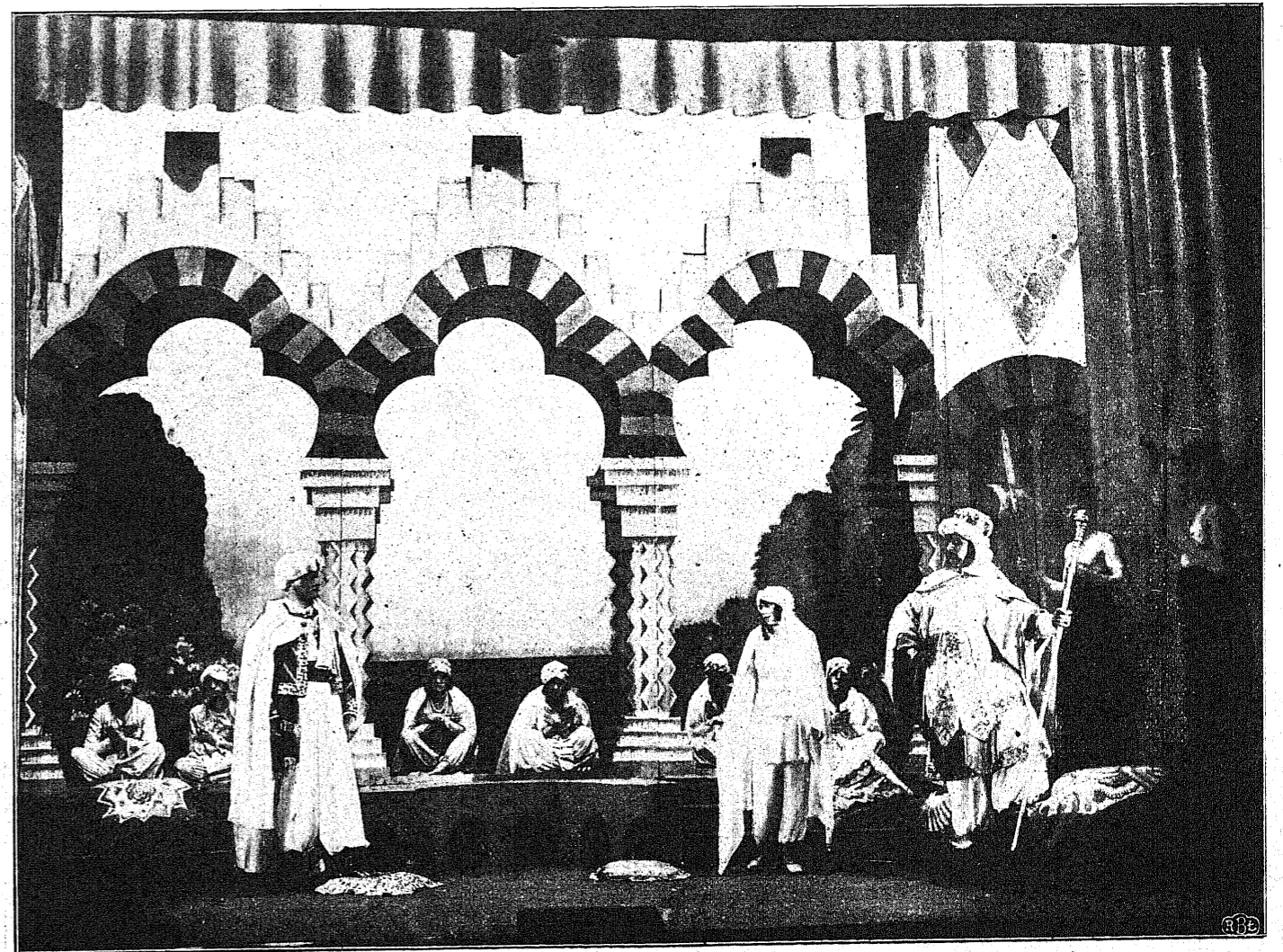
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Roł IV.

Łódź, dnia 25 września 1927.

№ 39.

## „Książę Niezłomny” w Teatrze Miejskim w Łodzi.



Dyrekcja Teatru Miejskiego w Łodzi zainaugurowała nowy sezon wspaniale wystawionym w dniu 14 września dramatem Calderona-Słowackiego p. t. „Książę Niezłomny”.

Zdjęcie powyższe przedstawia fragment z 1-go aktu „Księcia Niezłomnego”, a mianowicie scenę, odbywającą się w ogrodzie króla Fezu. Na tle olbrzymiego zamku stoją: córka króla Fezu, Feniksana w osobie p. Ireny Grywińskiej, król Fezu w osobie p. Stanisława Janowskiego, oraz dowódca wojsk feskich, Wulej w osobie p. Kwiatkowskiego.

## Teatralja.

**Co słyhać w Warszawie? — Teatr polski w Rydze. — Nowe opery polskie. — Cenzura nie próżnuje.**

Jedną z najpożyteczniejszych placówek teatralnych stolicy, praski Teatr Odrodzonego, rozpoczyna wkrótce sezon pod dyktando kierownika Polskiego Instytutu Teatralogicznego, red. Wiktora Brumera. Teatr praski, traktowany w ostatnich latach przez b. magistrat warszawski po macoszemu, mimo najlepsze chęci i prawdziwie heroiczne wysiłki grającego „na działy“ zespołu, nie mógł stanać na pożądaną wyżnię i odpowiedzieć przeznaczonemu sobie zadaniu. — Rozpaczliwą sytuację finansową trzeba było często ratować kosztem wulgaryzacji repertuaru i doraźnego przystosowywania go do bardzo jeszcze niewyrobionych gustów praskiej publiczności. Niestety i te środki nie zawsze okazywały się skuteczne, nawet i „Trędowate“ nie zdołały powstrzymać degenerolady sympatycznego dzielnicowego teatrzyku, a cały sezon ubiegły upłynął pod znakiem niepowodzeń kasowych i komplikacji artystycznych.

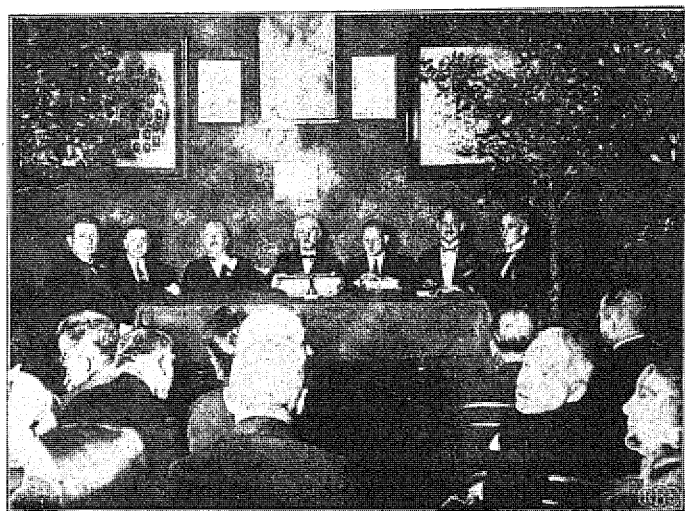
Na sezon bieżący kierownictwo Teatru Odrodzonego ujął w swe fachowe ręce dyr. Wiktor Brumer, zapewniwszy sobie pomoc i współpracę szeregu wybitnych sił literackich i malarskich, zamierza — po gruntownej i wszechstronnej reorganizacji sceny praskiej — postawić ją na godnym stolicy poziomie. Znając energję nowego kierownika i jego wyjątkowe kwalifikacje fachowe, można żywić nadzieję, że te piękne i doniosłe zamierzenia będą mogły przybrać kształt rzeczywistości. Nadzieje te są tembardziej uzasadnione, że — jak słyszemy — nowe władze miejskie stolicy pragną poddać rewizji dotychczasowe systemy komunalnej polityki teatralnej, co z konieczności doprowadzić musi do należytej oceny roli teatrów dzielnicowych, posiadających wszelkie prawo do szczególnej pieczołowitości i opieki, moralnej i materialnej, ze strony władz miejskich.

Teatr Odrodzony inauguruje sezon „Lilją Wenedą“, w reżyserji J. Waldena i inscenizacji malarskiej Fr. Siedleckiego. Następnie mają być wystawione: melodyjna „Lalka“ — Audrana i „Karpaccy Górale“ — Korzeniowskiego. Repertuar teatru będzie różnorodny, jednak utrzymany zawsze w granicach artystycznych i uwzględniający głównie i przede wszystkim twórczość rodzimą. M. im. dyrekcja projektuje wystawienie w niedalekiej przyszłości niegranej dotąd nigdzie groteski Emila Zegadłowicza p. t. „Łyżki i księżyc“. Przewidywany jest szereg występów Stefana Jaracza obejmujący najlepsze kreacje tego znakomitego artysty. Żywo, z planem i zapałem rozpoczyna swą działalność Teatr Odrodzony, któremu życzyć tylko wypada, aby sezon niniejszy stał się dlań rokiem prawdziwego renesansu i wszechstronnych sukcesów.

Publiczność warszawska, stęskniona podczas wakacyjnego odpoczynku do teatrów, napelnia je, po powrocie do miasta, tak

szczelnie, że teatry te wprost nie mają czasu na — premjery. To też, chociaż co wieczór klaszczą głośno dłonie w przybytkach muzy teatralnej, milczą pióra recenzenckie i nie mają nic do roboty. Wszystkie grane

obecnie sztuki, o których we właściwym czasie pisaliśmy co należało, wygrywane są do „ostatniej nitki“, a Teatr Letni zapowiada w najbliższej przyszłości miłą i ciekawą komedję Mirandea i Nicodemięgo p. tyt.:



Staraniem Stowarzyszenia Właścicieli Składów Aptecznych województwa łódzkiego otwarta została w Łodzi w b. m. koedukacyjna szkoła drogistów. Pierwsze wykłady odbyły się w dniu 15 b. m. Na zdjęciu moment z uroczystości otwarcia tej nowej placówki oświatowej. Fot. A. Meyer.



Fragment z III-go aktu „Księcia Niezłomnego“ z bawiącym w Łodzi na gościnnych występach p. Juljuszem Osterwą w roli Księcia Niezłomnego. (X)



Dzięki inicjatywie przełożonej szpitala św. Józefa w Łodzi, p. Marji Raabe (X) została wzniesiona w ogrodzie szpitalnym figura św. Józefa. Na ilustracji widzimy akt odsłonięcia i poświęcenia figury, dokonany przez J. E. ks. biskupa Tymienieckiego. Fot. A. Meyer.



W dniu 4 b. m. J. E. ks. biskup Tymieniecki dokonał poświęcenia Domu Misyjnego S. S. Pasterek i zakładu wychowawczego dla dziewcząt mieszczańskich w Radogoszczu. Fot. A. Meyer.

„Moja Maleńka“, która, jak wieści zakulisowe głoszą, może liczyć na długotrwałe powodzenie. Zresztą — nie uprzedzamy biegu wypadków!...

Operetka stołeczna, oparwszy się na mocnych podstawach personalnych i materialnych, po udatnem bardzo zapoczątkowaniu sezonu doskonałą „Nitouchę“ w „Nietoperzu“, zaprezentowała w całej okazałości swe odnowione zasoby w „Nowościach“ — starym, melodyjnym, wartościowym pod każdym względem „Baronem Cygańskim“ — J. Straussa. Strauss i Offenbach są to ojcowie operetki nowoczesnej, których progenitura — niestety — nie dorasta często nawet do pięt swym klasycznym antenatom. Piękna, bogata i melodyjna muzyka, libretto, nie kolidujące ze zdrowym rozsądkiem i elementarnymi wymaganiami estetyki, żywość i barwność scenicznego tła — czynią z „Barona Cygańskiego“ jedną z najmiłszych operetek dawnego repertuaru, o wiele wyższego i szlachetniejszego od dzisiejszych śpiewanych fars i tańczonych sketch'ów, podszywających się często, a nie słusznie pod miano komedji muzycznej — operetki.

Dyrekcja „Nowości“ dała dowód właściwego zrozumienia swych artystycznych zadań, powierzając głównie rolę w „Baronie“ śpiewakom operowym pp. Chorjanowi i Zamorskiej. Oboje wywiązali się bez zarzutu ze swych wokalnych i scenicznych obowiązków, wskrzeszając najlepsze tradycje przedwojennej operetki warszawskiej, kiedy to piękne głosy i dobra muzyka, a nie goliżna baletu i ekscentryczność strojów primadonn — decydowały o sukcesie operetki.

Otrzymujemy następujące informacje o teatrze polskim w Rydze, jedynej imprezie scenicznej polskiej na Łotwie, posiadającej już choćby z tytułu swej wyłączności poważną misję artystyczną do spełnienia. W r. b. polskie „studjum dramatyczne“ w Rydze, dzięki otrzymanemu od rządu łotewskiego subsydjum, przekształca się w Teatr Polski, który obsługiwać będzie zarówno Rygę, jak i całą zamieszkałą w dużej ilości przez ludność polską, Letgalię. W samej Rydze przewidywanych jest w ciągu sezonu co najmniej 12 spektakli. Na pierwszy ogień idą: „Zaczarowane Koło“ — Rydla, „Lekkomyślna siostra“ — Perzyńskiego oraz „Dom otwarty“ — Bałuckiego; następnie, zamierzone jest wystawienie przeróbki scenicznej arcydzieła Sienkiewicza: „Quo vadis?“ Na otwarcie sezonu idzie „Zaczarowane Koło“. Reżyserem Teatru Polskiego jest W. Czengery.

Z radością notujemy dochodzące nas wieści o kilku przygotowywanych, bądź już wykończonych, operach kompozytorów polskich. Znany dobrze łodzianom Tadeusz Joteyko, autor „Zygmunta Augusta“ napisał nową operę historyczną p. t. „Jadwiga“, opiewającą młode lata Królowej Jadwigi. Piotr Rytel wykafoza „Ijole“, opartą na znanym dramacie J. Żuławskiego. Juljusz Wertheim wykończył już operę p. t. „Fatamorgana“ z librettem pióra Juljana Ejsmonda, zaczerpniętem z baśni „1001 nocy“.

Wreszcie Witold Maliszewski złożył dyrekcji opery warszawskiej swą operę - balet p. t. „Syreny“, która ma ujrzeć światło kinokietów w sezonie bieżącym.

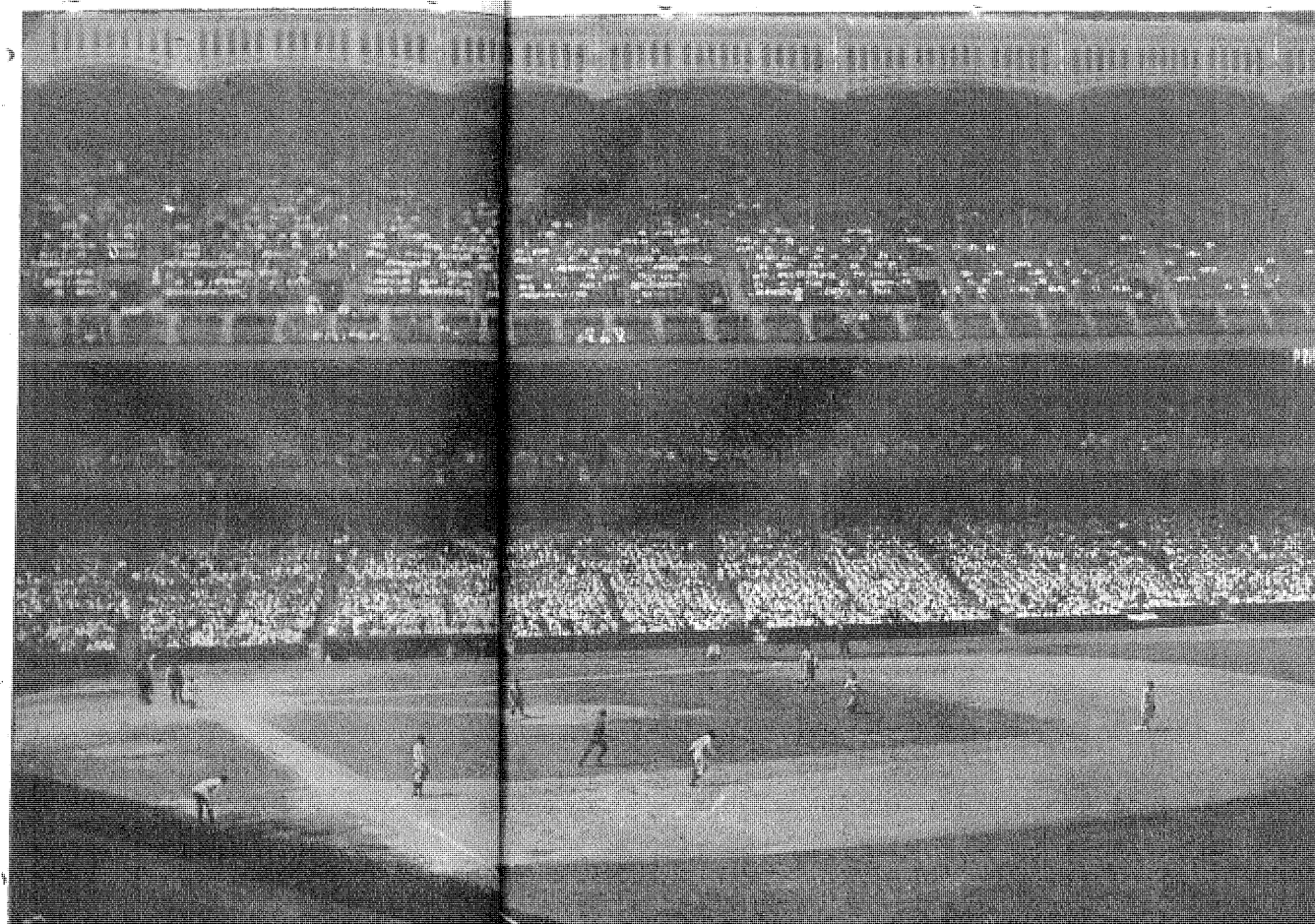
Do szeregu wielkich autorów dramatycznych, nad którymi zawiesiła swoje veto cenzura japońska — przybywa jeszcze jeden i to też bardzo nieprzeciętnej miary. Tym banitą ze scen japońskich jest nie kto inny, jak Moliere, genjalny Moliere, którego twórczość jest jednym z kamieni węgielnych współczesnego teatru wogóle. Powody tego dziwnego zakazu: mógłby zrozumieć chyba tylko ktoś, znający głęboko i

dokładnie skomplikowaną psychikę i poglądy estetyczne najbardziej europejskiego z narodów azjatyckich. Niewątpliwie bardziej uzasadnione było zarządzenie władz angielskich w Palestynie, domagające się, aby treść wszelkich widowisk żydowskich przedkładana była cenzurze w tłumaczeniu angielskim. Zarządzenie to wywołało jednak tak ostre protesty ze strony prasy i sfer literackich żydowskich, że władze mandowe dla świętego spokoju rozporządzenie swoje wycofały, z czego najbardziej cieszą się — urzędowi tłumacze.

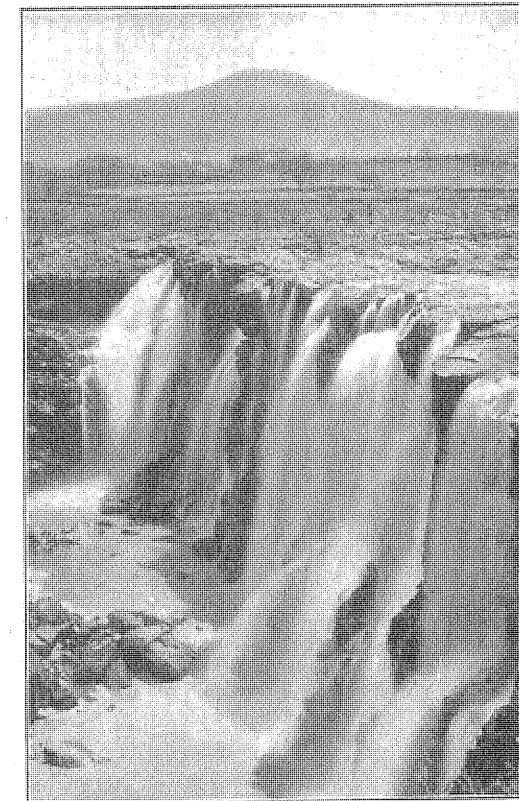
Delta.



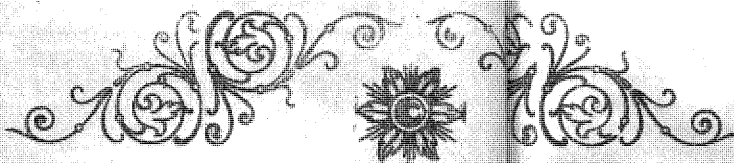
Georgette Hale, uroczą gwiazdą filmową Ameryki.



Tysięczne rzesze widzów na meczach piłkarskich Anglii, śledzą w wysokim napięciu akcję rozgrywających się zawodów.



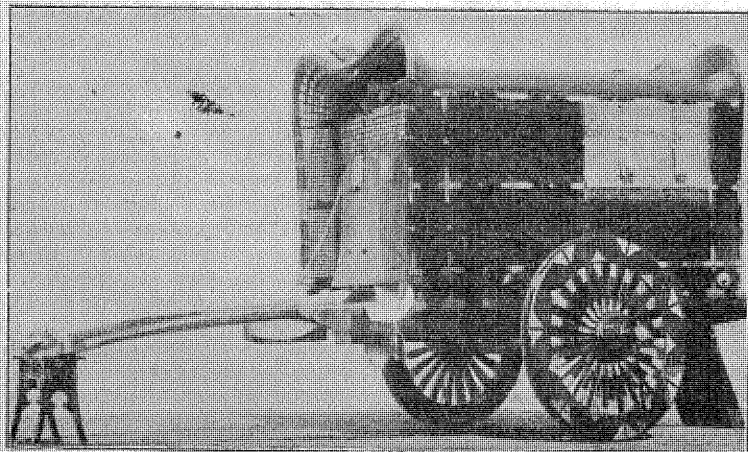
Wodospad Rio-Grande.



Wyraz wdzięczności Polski dla Ameryki. Wnie prezydent Coolidge'owi album, złożony ze 112 ksiąg z pamięć Polaków.



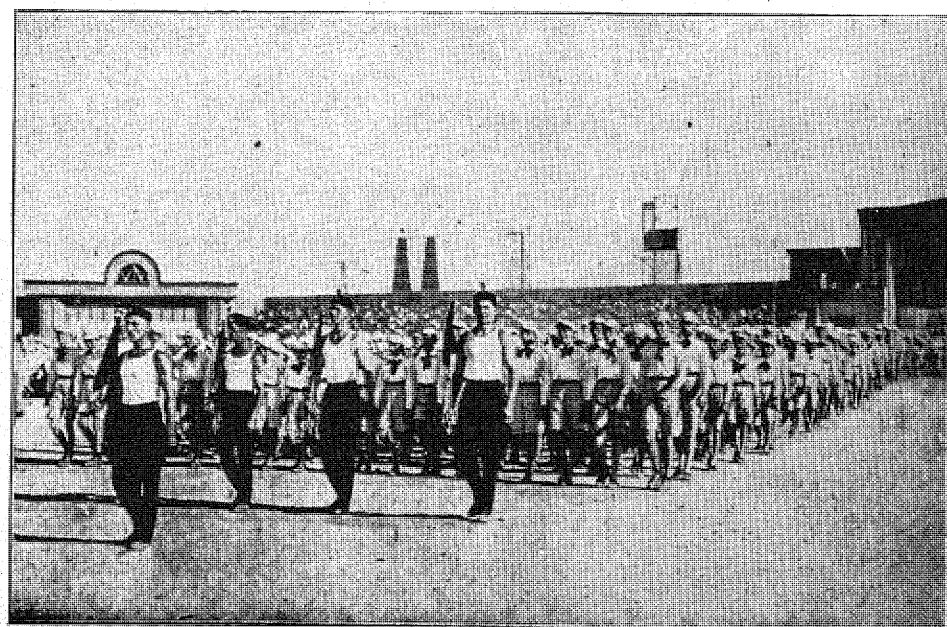
Szanghaj — ogólny rzut oka na miasto.



Japoński karawan cesarski.



Rekordzistka świata w rzucie dyskiem, p. Halina Konopacka (AZS., Warszawa) w chwili osiągnięcia najlepszego swego wyczynu.



Defilada uczestników olimpiady robotniczej w Pradze, w której wzięły udział tysięczne rzesze zawodników, reprezentujących kilkanaście państw.

## Skład fortepianów i pianin KAROL KOISCHWITZ

W Łodzi, ul. PIOTRKOWSKA Nr. 67.

Jedną z najstarszych i najpoważniejszych w kraju firm, zajmujących się handlem fortepianów i pianin, jest firma Karol Koischwitz w Łodzi.



Właściciel firmy, p. Karol Koischwitz.

Założycielem firmy był Juljusz Koischwitz, który w listopadzie 1891 r. założył pierwszą w Łodzi fabrykę pianin przy ulicy Piotrkowskiej Nr. 253. W ten sposób w listopadzie 1926 r. minęło 35 lat od czasu właściwego założenia przedsiębiorstwa.

W marcu 1892 r. do interesu wstąpił jako współnik sym założyciela p. Karol Koischwitz, obecny właściciel firmy, który po dokładnych studiach fachowych zagranicą energicznie zajął się rozszerzeniem fabryki. Już dnia 1 lipca 1892 r. lokale przedsiębiorstwa przeniesione zostały na ulicę Dzielną Nr. 44, gdzie wynajęte były obszernie pomieszczenia fabryczne, zajmujące całą oficynę.

Początkowo przedsiębiorstwo rozwijało się nader pomyślnie, albowiem pracowało w nim 25 ludzi fachowych, nie licząc innego personelu. Energia właścicieli przedsiębiorstwa zasługiwała tembardziej na uznanie, że wtedy wszystkie części pianin wykonywane były ręcznie.

Jednak konkurencja zagraniczna co raz bardziej dawała się we znaki młodemu przedsiębiorstwu, ponieważ ówczesne warunki celne pozwalały firmom zagranicznym sprzedawać swoje instrumenty prawie po tych samych cenach, po jakich kalkulować

## 25 letni jubileusz firmy.

musiała fabryka miejscowa. Węć istnienie przedsiębiorstwa coraz więcej związane było z walką konkurencyjną.

Z tych względów fabryka pianin, po 10-letnim istnieniu została w roku 1901 zlikwidowana, wyprodukowawszy przez ten czas przeszło 800 instrumentów.

Współwłaściciel przedsiębiorstwa, p. Karol Koischwitz, wyjechał wtedy zagranicę, aby zawrzeć tam bezpośrednie stosunki handlowe z najpoważniejszymi wytwórcami fortepianów i pianin, zaś z dniem 1 lipca 1902 r. otworzył w Łodzi przy ul. Ewangelickiej Nr. 1 skład fortepianów i pianin oraz warsztat reparacyjny. Węć w dniu 1 lipca 1927 r. minęło 25 lat istnienia przedsiębiorstwa handlowego pod teraźniejszą firmą a 35 lat od czasu wstąpienia obecnego właściciela tejże do pierwotnego przedsiębiorstwa fabrycznego.

Już po trzech miesiącach, t. zn. w dniu 1 października 1902 r., przedsiębiorstwo przeniesione zostało do większego lokalu przy ul. Dzielnej Nr. 20, zaś w roku 1911 znowu do większych pomieszczeń przy ul. Moniuszki Nr. 2.

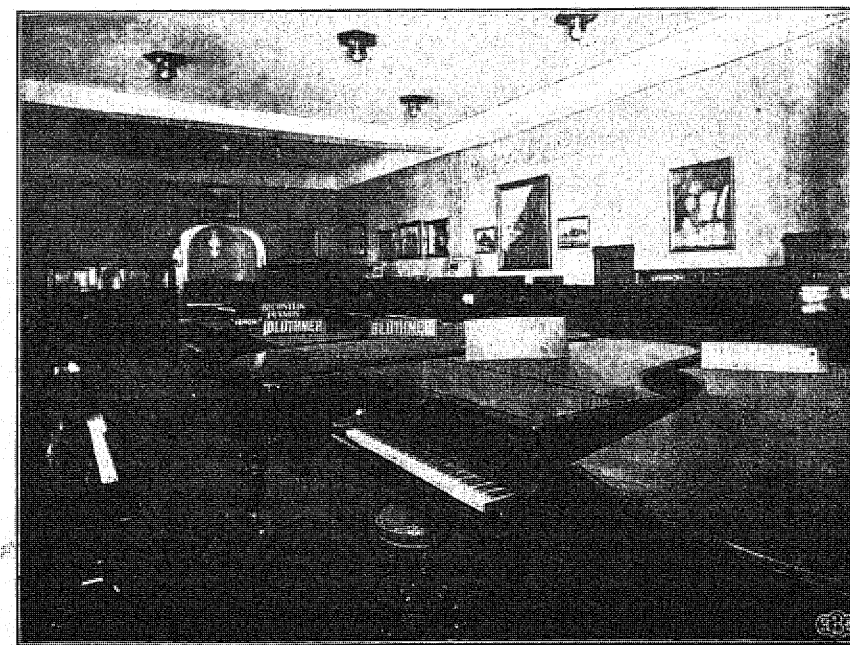
Od początku 1927 roku przedsiębiorstwo mieści się w wykwintnym i bardzo wygodnym lokalu przy ul. Piotrkowskiej Nr. 67 w podwórzu.

Od czasu swojego istnienia firma Karol Koischwitz nieustannie się rozwijała. Z małych początków wzrosła ona do najpoważ-

niejszych przedsiębiorstw swojej gałęzi w kraju. Posiada ona dzisiaj wyłączne przedstawicielstwo fabryk fortepianów i pianin światowej sławy, jak: Bechstein, Blüthner, Feurich, Grotrian-Steinweg, Ibach, Quandt oraz wielu fabryk krajowych. Wszystko to firma zawdzięcza nieustannej energii, pilności, staranności, sumienności i solidności obecnego jej właściciela.



Założyciel firmy, p. Juljusz Koischwitz.



Salon składu fortepianów i pianin firmy Karol Koischwitz, mieszczącej się w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej 67.

KAROL MARILAUN.

## JULERL

Szkic z lipcowych rozruchów wiedeńskich.

— „Pagati!” — rzekł Neudecker Ferdl, rzucając swą brudną kartę na kamienny stół, przy którym siedział od wczesnego ranka ze swymi przyjaciółmi: Schekerlem, Rudolfem, czerwonym Hansim i Poldem.

Kamienny stół, mszysty i zwietrzały, — nie był zwyczajnym stołem!

Był to zatem kamień grobowy i leżał w niedznej trawie starego, dawno opuszczonego omentarza, dziś wielkiego rumowiska, wokół którego wznoszą się proletarjackie domki wiedeńskiego przedmieścia.

Ulicznicy, bezrobotni, indywidua bojący się światła dziennego w śródmieściu, spędzają tu całe dnie między poprzewracanymi grobowcami.

Czasem policjant tu zagląda. Słyszcy cichy, szyderczy gwizd na powitanie, do czego jest tutaj przyzwyczajony i nic sobie z tego nie robi, bo i mikt tu nic złego nie ma na myśli zresztą.

Za plecami Ferdla, który dla rozegrania partii swoje cztery grosze na stół inkasował, stanął Julerl — wysoki, ładny chłopiec w podartych drelichowych spodniach. Kiedyś — dawno temu — był uczniem u pozłotnika. Ale źle się sprawował: kino dziewczynki, towarzysze, gry na placach za ostatnimi domami przedmieścia — wszystko to bardziej było zajmujące od warsztatu. Od wielu, wielu już miesięcy włóczył się tak samo, jak Ferdl z towarzyszami.

Włóczęga zatem, jak ci wszyscy — którym spokojny obywatel starał się zejść z drogi, jeśli się z nimi w ciemnej ulicy spotka. Ale teraz nie było ciemno. Jasne, upalne, lipcowe południe żarem prażyło. Julerl położył swą dużą, opaloną rękę na ramieniu Ferdla. Galopem przybiegł do przyjaciół z nowinami:

— Siedzicie tu przy głupim taroku — mówił zadyszany — a w mieście zamęt. Na Ringstrasse już strzelają i u nas zaraz się zacznie, patrzcie tam!

Nad zalaniem słońcem domami wznosił się olbrzymi, prosty, jak świeca, słup dymu.

— Sąd okręgowy — mówił dalej Julerl ze złym błyskiem w oczach — niech się pali! Benzyną go podpalił. To samo będzie z uniwersytetem. Rzućcie głupie karty. Prędko, śpięszcie się! Chodźmy zobaczyć, co się święci!

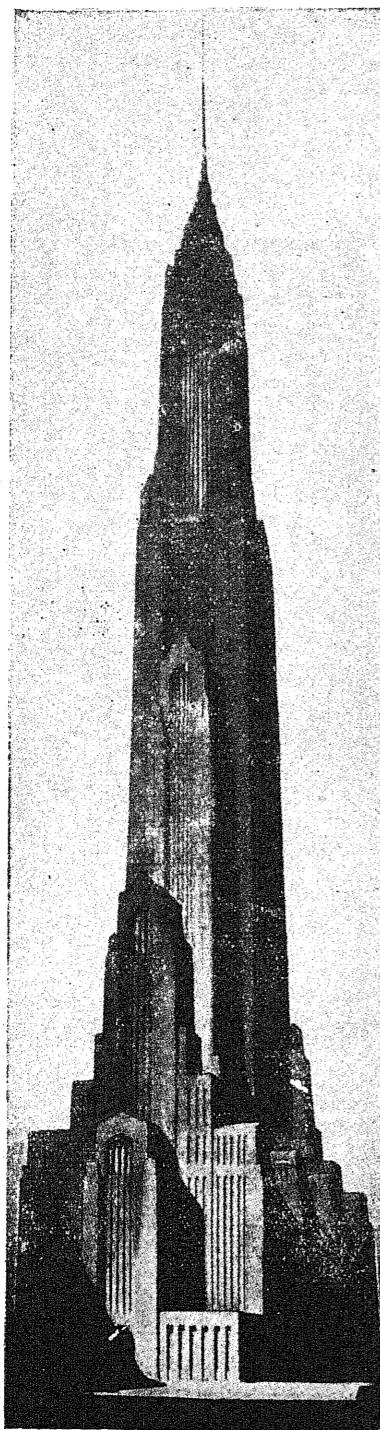
W oka mgnieniu Julerl i Ferdl z przyjaciółmi pędzili ku miastu. Tam spuszczano już z hałasem żelazne okiennice sklepowe. Słychać było daleki, to pojedynczo, to rytmicznie grzmiący trzask. Pierwotne zleinstynkty rozpętały się w chłopcach. Z dzikim gwizdem gnali dalej. Wielka szeroka ulica była przeraźliwie pusta. Tu i owdzie mrknął ostatni wehikuł. Mieszkańcy z bladymi twarzami wzdłuż muru przemykali się w boczne ulice.

Chłopcy wciąż biegli. Julerl z nimi. Przed jedną z ulic stanął jak wryci, po

chwili jednak z dzikim okrzykiem wpadli w nią: wpoprzek szerokiej ulicy, jak z pod ziemi wyrosła, straż bezpieczeństwa stała murem z karabinami do strzału gotowemi w rękę. Z bocznych ulic biegł tłum: sami wyrostki, jak Ferdl i Julerl, z kamieniami, kijami i żerdziami w rękach.

Grad kamieni sypnął — wślad za tem huk strzałów. Krzyki. Jęki. Gwizd. Przekleństwa. Julerl, jak szalony pędził naprzód wraz z innymi chłopcami. Nie była to już banda próżnujących włóczęgów, lecz sfera rozwydrzonej tłuszczy.

Nagle Julerl stanął, jak wryty. Znajdował się na ulicy, przy której dawniej mie-



Wizje urbanistów.

szkał z rodzicami — kiedy był jeszcze uczniem u pozłotnika. Jakaś kobieta przeraźliwie krzyczała.

Lamiąc ręce, stała w bramie domu, który był jego, Julerla, domem, kiedy się dobrze sprawował. Julerl stał nieruchomo. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Zdawało mu się, że słyszcy głos matki, płaczącej i wyrzekającej na to, że za późno z kina i swojej włóczęgi do domu wracał, że czuje karzącą rękę ojca na ramieniu i słyszcy jego gniewne słowa:

— Teraz dopiero do domu wracasz? Gdzie się włóczysz, gałganie?

Gderanie majstra w warsztacie kiedy on, Julerl, który zawsze gdzieś po obłokach myślami błądził, znowu mu jakąś drogą robotę zepsuł...

— Do domu! — jęknął głucho.

— Boisz się, psie! — krzyknął nań jeden ze zgrai.

Julerl drgnął, wyprostował się dumnie i jak nieprzytomny rzucił się wraz z innymi w tłum. Dostał łufą karabinu między łopatki, aż zawył z bólu. Gryzący dym palił mu oczy, jak dziki zwierz obiema rękami objął stalową łufę i wściekłym wysiłkiem przygiął ją do ziemi. Poldl, Hansl, Ferdl, Schekerl i Rudolf tłukli przed nim jakiegoś mężczyznę. Po raz pierwszy w swem siedemnastoletnim życiu Julerl ujrzał krew...

W kilku skokach Julerl znalazł się na rogu ulicy. Jeszcze jedna ulica... jeszcze jedna... U ich wylotów wszędzie błyszczą lufy w słońcu... Brama... Otwarta... — Wbiegł... Przez podwórko dostał się do innej bramy... I oto znalazł się znowu w ulicy, przez którą z przyjaciółmi przebiegał. W jego ulicy...

Z szarą twarzą Julerl zapukał do okna przy bramie domu liczbą siedem. Domu, w którym matka jego była!

— Otwórzcie! — reszta tchu w pierśi zawołał. — To ja, Julerl!

Przez otwierające się okno jak kot wskoczył do pokoju. Wszystko tu było po dawnemu. Zupełnie tak samo, jak widział często w swych marzeniach z ostatnich miesięcy, kiedy się włóczył, uciekając od pracy, z ciemnymi indywiduami po przedmieściach, kinach, samotnych parkach...

W domu nic się nie zmieniło: te same łóżka z czerwonymi kapami, które matka na raty kupiła; maszyna, przy której późno w noc pracowała, sofa, na której on, Julerl, sypiał, kiedy z warsztatu lub z fachowej szkoły do domu wracał; mały, zielony klozyszek z bibułki nad lampą. Na komodzie jego fotografia: Julerl w nowym ubramiu, w którym przed czterema laty do bierzniowarza przystępował...

— Jezus, Marja, Józef! — krzyknęła matka. — Gdzieś ty był? Gdzie się włóczysz, Julerl?

— Przyszedłem w odwiedziny, nie krzycz tak! — odparł Julerl, błędnym wzrokiem wodząc wokoło. I przerażony schował rękę, na której lepka czarna krew zakrzepła.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok IV.

Łódź, 2 października 1927 roku.

Nr. 40.

## 25-letni jubileusz „Kochanówki”.



W dniu 17 ub. m. odbyła się w szpitalu dla umysłowo chorych w „Kochanówce” uroczystość 25-letniego istnienia. Uroczystość ta dała licznym gościom okazję przekonania się o wielce doniosłym znaczeniu i żywotnej pracy tej arcy-zasłużonej instytucji.

Na zdjęciu personel lekarski i obsługa szpitala z dyrektorem, dr. Siwińskim, pośrodku grupy.

Fot. A. Meyer.